

Michalina Sękowska-Pięchowa

Bochnia

**W pamięci dziecka i dorosłego – refleksje na marginesie
lektury Stanisława Sławomira Nicieji *Kresowa Atlantyda***

Jeszcze sierpniowe upały dawały się we znaki, ale już od czasu do czasu odczuć można było lekki powiew jesieni. Leśne polany pokrywały się fioletowym kobiercem wrzosów. Leniwie płynął czas, w przyrodzie panowała niezwykła cisza. Nie zapowiadała nadejścia nawałnicy, która położyła kres jednej epoce, a dała początek następnej, krwawo zapisanej w historii polskiego narodu, w pamięci poszczególnych dorosłych osób oraz w sercach dzieci.

Dzień 1 września 1939 roku stał się datą przełomową w życiu jednostek oraz naszego społeczeństwa. Niemcy bez wypowiedzenia wojny zaatakowali Polskę z powietrza, morza i lądu. Strach przed najeźdźcami nie pozwolił racjonalnie myśleć, wszyscy uciekali na Wschód, do Rumunii, byle dalej od wroga. Powszechnej psychozie ulegli i moi Rodzice. Bez konkretnego planu opuściliśmy ze łzami w oczach dom rodzinny. Do nas dołączyły kuzynki i kuzyni. Jechaliśmy nocami, gdyż w ciągu dnia, na bezchmurnym niebie bezkarnie balansowały meserszmity z czarnymi krzyżami i obniżając lot, z broni pokładowej atakowały ludność cywilną. Strach, przerażenie, ranni i zabici były rezultatem nalotu wrogiego państwa na polskie ziemie. Mijaliśmy chaty tonące w sadach, których drzewa ugięły się od złotych gruszek, rumianych jabłek, fioletowych śliwek i szaro-zielonych orzechów. Ten obraz, obraz złotej polskiej

jesieni zapisał się na zawsze w dziecięcej pamięci i trwa do dziś. Na naszej trasie znalazły się takie miasta, jak Stanisławów, Drohobycz, Borysław i wiele pomniejszych.

Jadąc, ominęliśmy Przemyśl, Lwów i skierowaliśmy się na południe. Wybraliśmy trasę, wiodącą na Zaleszczyki, którą przemierzali niektórzy dygnitarze z rządu i politycy, kierując się ku granicy. Na naszej drodze rozłożył się Stanisławów, miasto założone w XVII wieku przez Andrzeja Potockiego i nazwane tak na cześć jego ojca, wielkiego hetmana koronnego Stanisława Potockiego oraz syna Stanisława, który później zginął podczas odsieczy wiedeńskiej.

Miasto polskie, ważny ośrodek nauki i kultury na ziemiach wschodnich, o którym prof. S. Nicieja tak pisze: „Po wojnie wykarczowano tam polskość – nie tylko wygnano stamtąd Polaków, ale miasto straciło nawet polską nazwę, bo od 1962 roku nazywa się Iwanofrankiowsk”. Dalej czytamy: „Polskość unicestwiono w Stanisławowie w 1945 roku wykonując postanowienia konferencji w Jałcie. Wygnani stanisławowianie rozpierzchli się po świecie. Osiedli głównie w Polsce południowej, od Przemyśla po Zgorzelec. Niektórzy dotarli do Warszawy, a nawet Szczecina, ale najwięcej z nich skupiło się w Gliwicach i Opolu, w sumie około 5 tysięcy. Znaczny procent wśród tych wygnańców stanowiła inteligencja: nauczyciele, lekarze, inżynierowie, prawnicy. Oni to odegrali szczególną rolę przy repolonizacji Górnego Śląska”.

W rozmowie z p. mgr inż. Wandą Szklarzewicz zadaję pytanie: „O ile mi wiadomo, Pani nie jest rodowitą bochnianką, tak jak ja? Rodzina Pani wywodzi się bowiem ze Stanisławowa”.

„Tak, to prawda. Kolejne mego życia związane są z Bochnią od ponad pięćdziesięciu lat. Urodziłam się jednak pięćset kilometrów stąd, w Stanisławowie. Moja rodzina, zarówno ze strony ojca, jak i matki, związana była od pokoleń z tym kresowym miastem. Gdy powracam w myślach do lat mojego dzieciństwa i młodości, to wszystkie obrazy łączą się ze Stanisławowem”.

„Jak określi Pani atmosferę tego miasta?” – pytam.

„Moje dziecięce wspomnienia znajdują potwierdzenie w nielicznych, zachowanych na szczęście, fotografiach. Pamiętam

ozdobne kamienice, kościoły, teatr, szerokie ulice z jeżdżącymi po nich dorożkami, piękne kobiety. To było tętniące życiem, dynamiczne, piękne miasto, trzecie co do wielkości i znaczenia miasto w Galicji. Na jego szczególny charakter wpływała wielonarodowość – żyli w nim Polacy, Ormianie, Huculi, Rusini, Żydzi. Kościoły katolickie sąsiadowały z prawosławnymi cerkwiemi czy żydowskimi synagogami. Nie pamiętam, by w tamtym czasie dochodziło do konfliktów na tle narodowościowym czy wyznaniowym. Rodzina moja była liczna i wielopokoleniowa: dziadkowie, rodzice, moje rodzeństwo. Bardzo ważnym elementem wspólnego życia stało się pieczołowite pielęgnowanie tradycji, głównie związanych ze świętami religijnymi. Dziś staram się ją kontynuować we własnym domu, dlatego zawsze na stole wigilijnym znajduje się kutia, poza tym barszcz, zasmażana kapusta i piernik, według przepisu babci. To są smaki mojej młodości.

Doskonale sobie przypominam spacer z dziadkiem. Brał nas w niedzielę do restauracji, sam raczył się piwkiem, a mnie i bratu kupował lemoniadę. Przy wyjściu dostawaliśmy pestki z dyni zawinięte w rożek, a wśród pestek znajdował się kogucik z gliny, metalowy gwizdek lub różowe okulary. W lecie spacerowaliśmy po parku wśród palm, sadzawek, klombów, zimą zaś zjeżdżaliśmy na sankach. Takim był Stanisławów do 1939 roku, takim było moje dzieciństwo, które minęło bezpowrotnie.

Zaczęła się nowa era dla miasta i dla nas. Oczyma dziecka patrzyłam ukradkiem na Żydów, którzy w niekończącej się kolumnie szli ulicą Halicką, szli młodzi, starzy i dzieci. Widziałam śmierć mojej koleżanki, w końcu utraciłam wiele bliskich mi osób: brat mamy uciekł z transportu na Syberię, następnie aresztowany przez Niemców, zginął w Oświęcimiu, jego żona wraz z małym synkiem zostali zamordowani przez Ukraińców. Brat ojca walczył w Normandii, w dywizji gen. Maczka, po wojnie nie mógł wrócić do Polski, pozostał na obczyźnie, w Anglii.

Życie w ciągłym strachu, zagrożenie ze strony okupantów oraz miejscowych nacjonalistów skłoniło moich rodziców do opuszczenia miasta, w którym żyło kilka pokoleń mojej ro-

dziny. Ojciec szykanowany w pracy przez Ukraińców postarał się o wyjazd. Podróż trwała miesiąc w towarowym wagonie. Skierowano nas do Sulejowa koło Zielonej Góry, w ten sposób zaczęliśmy wszystko od początku”.

„Czy po II wojnie światowej wróciła Pani kiedyś w tamte strony i czym ten powrót był podyktowany? Jakie zmiany rzucające się w oczy, zaszły w ostatnich latach?” „Przez ponad 30 lat kontakty z pozostałą rodziną na Kresach Polskich były niemożliwe. Długo nie wiedzieliśmy, kto przeżył wojnę, kto zginął i w jakich okolicznościach. Dopiero w latach 80. ubiegłego wieku rodzina zaczęła powoli odtwarzać wzajemne relacje. Kilka lat temu – mówi pani Wanda – wraz z bratem pojechaliśmy do Stanisławowa, by odnaleźć groby babci, dziadka i innych członków rodziny, odnaleźć ślady szczęśliwego dzieciństwa. Nie ma już rodzinnego domu, zrównano go z ziemią, a na jego miejscu powstały blokowiska i drogi. Trudne to są wyjazdy, mimo to byłam w Stanisławowie kilka razy, powoli dźwiga się ze zniszczeń i zaniedbania.

Wśród żyjących członków mojej rodziny istnieje silna świadomość narodowa, wszyscy czują się Polakami, mówią piękną polszczyzną. Młodszy chcą żyć lepiej, stąd częste wyjazdy za granicę do pracy, na studia”.

„Moje pokolenie – kończy pani Szklarzewicz – utrwaliło w pamięci trudne lata. Historia boleśnie nas doświadczyła, ale te doświadczenia równocześnie kształtowały nasze charaktery, budowały właściwą hierarchię wartości, nauczyły rozumnego patriotyzmu. Młode pokolenie powinno znać przeszłość, chronić ją i przekazywać następnym takie wartości, jak: prawda, historia, służba Bogu i Ojczyźnie”.

Sięgamy ponownie do *Kresowej Atlantyd*, by przytoczyć informacje Stanisława Nicieji, dotyczące historii Stanisławowa. Młode miasto, bo powstałe w XVII wieku odznaczało się pięknym położeniem, w widłach dwu rzek, wypływających z Karpat, o krystalicznych wodach, przyciągało turystów i wczasowiczów. W poetycki sposób pisze o tym ks. Tadeusz Pater w książce *Listy o Kresach*: „Przedziwny i do końca nieznany człowiekowi los zadecydował, że odrębne ich źródła – nie tak daleko

od siebie położone – osobno i własnymi mocami drążyły wodne koryta, skądinąd w trudnym geologicznie podłożu, aby w końcu – pokonując wszelkie historyczne nadąsania – połączyć się w jedno dzieło przyrody, jako majestatyczny dopływ Dniestru”. Nad miastem górował potężny zamek o sześciu basztach, strzegąc jego mieszkańców, który Austriacy zburzyli na początku wieku XIX. W ten sposób pozostały jedynie ślady dawnej świetności. Ozdobą grodu był również piękny ratusz, z którego wieży płynęły kuranty przypominające mieszkańcom Stanisławowa o upływającym czasie. W kościele farnym, w podziemiach znajdowało się mauzoleum Potockich. Sowieci po wkroczeniu do tego miasta zniszczyli je wraz z trumnami założycieli i fundatorów.

Okresem świetności oraz rozwoju Stanisławowa był przełom XIX i XX wieku. Wtedy powstało wiele nowych kamienic, kamieniczek i budowli publicznych, na które szczególnie wpływ wywarła secesja. Do dziś zwracają na siebie uwagę swym pięknem i oryginalnością, skłaniają do podziwu. Były one dowodem zamożności mieszkańców, ale także inwencji oraz artyzmu architektów.

Dnia 6 sierpnia 2007 roku grupa nauczycieli – emerytów wyjechała z Bochni na dawne Kresy Wschodnie. Po przekroczeniu granicy mijaliśmy Sambor, Drohobycz, Borysław i Stanisławów. Ze wzruszeniem pokonywałam prawie tę samą trasę, którą z Rodzicami przemierzałam w 1939 roku. Stanisławów – stoimy całą grupą przed pięknymi, aczkolwiek zaniedbanymi kamieniczkami secesyjnymi, słuchamy objaśnień przewodniczki. Poznajemy historię Stanisławowa. Miasto to staje się nam bliskie szczególnie z racji tego, że było ono kiedyś miastem Ireneusza Ireduńskiego. Przyszedł na świat w 1939 roku. Niebawem jego ojciec trafił do Armii Andersa, matka pochodzenia żydowskiego zostawiła dziecko siostrom męża i wyjechała, ratując się przed śmiercią. Tego faktu nie mógł jej darować dorastający syn. W jego podświadomości tkwił uraz do końca życia. Bochnia była drugim miejscem związanym z Ireneuszem Ireduńskim. W naszym mieście uczęszczał do gimnazjum i wnet zwrócił na siebie uwagę jako niezwykle uzdolniony 17-letni

młodzieniec. Wszedł do polskiej literatury będąc autorem dramatów i powieści. Prześladowany i więziony przez ówczesne władze komunistyczne odszedł wcześniej, ale pozostawił po sobie bogaty dorobek literacki, także legendę niezwykle barwną, a zarazem tajemniczą. Nie tylko Iredyński (właściwe nazwisko – Kapusto), ale wielu znakomitych ludzi zapisało się w historii Stanisławowa. W domu jednego ze znanych architektów o nazwisku Kudelski spotykała się bohema i cyganeria okresu dwudziestolecia. Bywał więc tam Jan Kasprowicz, Stanisław Przybyszewski i inni. Ponadto miasto to wydało Franciszka Karpińskiego, autora pieśni religijnych, Jana Lama, pisarza, satyryka, a także, jak podaje Stanisław Nicieja, ze Stanisławowa wywodzą się „uczni: Mieczysław Klimaszewski, rektor UJ, Jerzy Kuryłowicz, językoznawca – pochodzą znani aktorzy: Barbara Ludwiżanka, Anna Seniuk, Zenon Wiktorczyk i Jerzy Kawalerowicz”, który w Stanisławowie zobaczył niemy włoski film *Quo vadis*, a swój dorobek filmowy zamknął też filmem *Quo vadis* z Michałem Bajorem w roli głównej. Z tego polskiego miasta pochodzili też arcybiskupi, generałowie i wielu wybitnych Polaków. Nie sposób wymieniać wszystkich, o których pisze Nicieja, podkreślając tym samym nasz wkład w rozwój Stanisławowa, promieniującego przez wieki na ówczesne Kresy Wschodnie wysoką kulturą.

Dnia 17 września do Stanisławowa wkroczyli Sowieci. Rozpoczął się okres represji i szykanowania tak Polaków, jak i Żydów. Jeszcze trudniejszy okres nastąpił po zajęciu miasta przez Niemców. Czas ten tak charakteryzuje autor książki *Kresowa Atlantyda*: „Prawdziwą apokalipsę przyniosła okupacja hitlerowska. Jej reżyserem był krwawy szef gestapo w Galicji Wschodniej – Hans Kruger. Podobnie jak we Lwowie rozpoczął od polskiej inteligencji. Zaczęto do siedziby gestapo zapraszać adwokatów, notariuszy, lekarzy, nauczycieli”. W toku tej akcji wywieziono i rozstrzelano 130 nauczycieli i dyrektorów szkół w Czarnym Lesie. W miejscu tym leżą setki pomordowanych.

Kolejnymi ofiarami bestialstwa stali się też Żydzi. Prof. Nicieja tak wypowiada się na ten temat: „Dzień prawdziwej apokalipsy miał miejsce w niedzielę 12 października 1941 roku, kiedy to

zglądono ich kilka tysięcy (...) na cmentarzu kazano im kopać doły, a następnie rozbierać się i kłaść rzędami do mogił. Mordowano seriami z karabinów maszynowych". Zamordowano wtedy ponad 100 tysięcy. Niektórym udało się uciec, do nich należał Daniel Passent, syn inżyniera agronoma, a mąż Agnieszki Osieckiej, znany felietonista, współautor „Polityki”.

Część mieszkańców tego pięknego, z bogatą tradycją miasta, wymordowano, inni spoczywają na Cmentarzu Sapieżyńskim, a ci, którzy pozostali przy życiu, rozproszyli się po całej Polsce, nie zapominając o Stanisławowie.

Drugim miastem na trasie naszej rodzinnej ucieczki w 1939 roku był Drohobycz, leżący około 60 kilometrów na południowy zachód od Lwowa. Już z daleka zobaczyliśmy ogromną łunę. Niebawem przed nami pojawiło się morze płomieni, istne piekło na ziemi. Wrażenie było niesamowite tym bardziej, że istniejące zjawisko potęgowała ciemna, letnia noc. Palila się rafineria nafty.

Historia tego miasta sięga czasów Rusi Halickiej. Kiedy w II połowie XIX wieku odkryto w sąsiednim Borysławiu bogate złoża ropy naftowej, w Drohobyczu powstały rafinerie. Oba miasta stały się ośrodkami przemysłowymi, oba wraz z Truskawcem tworzyły przemysłowe trójmiasto, oba ściągały do siebie przedstawicieli różnej narodowości. Drohobycz był jednak największym skupiskiem ludności żydowskiej. Henryk Grynbarg – żydowski pisarz – w swoich wspomnieniach *Drohobycz, Drohobycz* podaje, że: „Żydów było w Drohobyczu dwa razy więcej niż Polaków, ale w szkole byliśmy jedną piątą i wychodziliśmy przez szpaler, w którym bili nas i kopali”.

Z miastem tym był związany od początku do końca Bruno Schulz. W nim się urodził i w nim zakończył życie. Wątpli, nieśmiały, zakompleksiony, odznaczał się niezwykłą siłą ducha. Studiował na Politechnice Lwowskiej, przebywał też w Wiedniu, wyjeżdżał do Krakowa, Warszawy i Paryża, ale zawsze wracał do Drohobycza. Miasteczko to inspirowało go, w zamian weszło na stałe do literatury polskiej. Zadebiutował w 1934 roku. Był wyjątkowo utalentowany plastycznie i literacko. Głośne i cenione stały się jego utwory *Sklepy cynamonowe, Sanatorium pod Klepsydrą*.

Bohaterami swoich utworów uczynił miasto i dom: „Wyszedłem w noc zimową – pisze – kolorową od iluminacji nieba. Była to jedna z tych jasnych nocy, w których firmament gwiazdny jest tak rozległy i rozgałęziony jakby rozpadał się, rozłamał i podzielił na labirynt odrębnych niebios, wystarczających do obdzielenia całego miesiąca nocy zimowych i nakrycia swymi srebrnymi i malowanymi kloszami wszystkich ich nocnych zjawisk, przygód, awantur i karnawałów”. Jak widzimy, zwyczajna noc staje się pod piórem artysty wyjątkowa, pełna tajemnic, jednym słowem – bajeczna. My – turyści z Bochni – ujrzelśmy Drohobycz w porze południowej, w blasku rozżarzonego słońca. Ulice, domy, przyroda nabrały jasnych barw, ciepłych kolorów. Idąc ulicami, zaułkami szukaliśmy śladów minionej przeszłości, szukaliśmy śladów pisarza, artysty, niezwykłego człowieka, szukaliśmy sklepów cynamonowych. Na próżno. Nie dlatego, że wojna zmiotła je z powierzchni ziemi, ale dlatego, że pojawiają się one u autora na granicy jawy i sennych marzeń. Scenerią naszych refleksji stała się opowieść o historii miasta i historii życia Schulza, które to dzieje splotły się ze sobą w jedną wspólną całość. Dziś uwagę zwiedzających przyciąga kościół gotycki z czerwonej cegły, usytuowany w centrum miasta pw. Wniebowzięcia NMP z XV wieku, ufundowany przez króla Władysława Jagiełłę. Nad domami zaś góruje synagoga wzniesiona w połowie XIX wieku, pusta, gdyż ci, którzy się w niej modlili zostali bestialsko wymordowani przez hitlerowców.

Tymczasem kierujemy się na ulicę Floriańską 10, pod dom pisarza, dom, w którym upłynęło małemu Brunonowi szczęśliwe dzieciństwo. „Wędrowaliśmy z matką przez dwie słoneczne strony rynku, wodząc nasze załamane cienie po wszystkich domach, jak po klawiszach” – wspomni Józef, bohater *Sklepów cynamonowych*. Opisana w nich historia jest w pewnej mierze oparta na historii autora, zmodyfikowanej i wzbogaconej o szereg fantastycznych przygód, jest historią w ogóle człowieka, opisem drogi, jaką przechodzi w swym życiu, jest historią rodziny – pewnego domu. Stoimy przed nim. Na murze widnieje tablica informująca o tym, że mieszkał w nim w latach 1910–1941 wybitny malarz i pisarz – Bruno Schulz.

Przewodniczka w swej opowieści zatrzymuje się przy okresie okupacji niemieckiej. Dla Schulza nadszedł trudny czas. Widywano go, jak tygodniami leżał na rusztowaniu w hallu Arbeitsamtu. Leżał na plecach, jak Michał Anioł, i malował konie na zlecenie gestapowca o nazwisku Landau. Badacz biografii i twórczości artysty, Jerzy Ficowski w książce pt. *Okolice sklepów cynamonowych* tak scharakteryzował ten okres: „Stan śmiertelnego zagrożenia był dla pisarza rujnujący nerwowo. Starał się, mieszkając już w getcie, kupić sobie życie. Wykonywał więc różne zamówienia gestapowca, który kazał mu się portretować, zamawiał malowidła ściennie oraz freski”. Nadszedł jednak tragiczny dzień pogromu. Pozbawiono wtedy życia ponad 100 Żydów. Schulz zginął na ulicy od dwu kul hitlerowskich. Pochowany ukradkiem, nocą, w niewiadomym miejscu, nie ma grobu ani nagrobka.

Upłynęły lata. Przyszedł rok 1992, UNESCO ogłosiło go Rokiem Schulza, co stało się okazją do licznych sesji literackich, wystaw jubileuszowych, spektakli teatralnych i filmowych opartych na prozie pisarza. Zaś w jesienny, listopadowy dzień w Drohobyczu zebrała się garstka przyjaciół zamordowanego, wielbicieli jego twórczości, by uczcić smutną rocznicę. Zainteresowano się też jego malowidłami, zaczęto dyskutować nad tym, jak je zabezpieczyć i gdzie je umieścić. Jednak zanim decyzje zapadły najważniejsza część fresków została zdjęta ze ściany przez nieznanych sprawców i wywieziona. Jak się okazało, to Instytut Yad Vashem w Jerozolimie wywiózł i przywłaszczył sobie malowidła drohobyckiego artysty.

Czy tylko Żydów represjonowano? O tym, jakie nastroje panowały w Drohobyczu po zajęciu go przez Sowieców pisze Wiesław Budzyński w książce *Miasto Schulza*, przytaczając zeznania świadka tych wydarzeń: „Krew nas zalewała na widok Żydów i nacjonalistów ukraińskich, którzy organizowali manifestacje wdzięczności dla ZSRR za wyzwolenie Ukrainy »spod ucisku polskiej burżuazji«. Ukoronowaniem tych uroczystości był pogrzeb Polski. Na udekorowanych zielenią samochodach spoczywała trumna, a w niej portrety dostojników polskich, flaga biało-czerwona, orzeł oraz czapka i pa-

latka policyjna (...) i dwa portrety obok siebie Stalin i Hitler na czerwonym tle. (...) Wkrótce sowieccy żołnierze przystąpili do naklejania dużych kolorowych plakatów”. Rozpoczęły się aresztowania. Jedną z pierwszych ofiar był nauczyciel gimnazjum Antoni Ogniewski, wuj generała Tokarzewskiego. Na te owacyjne powitania patrzyłam i ja oczyma dziecka. Nie tylko miasta, ale i wsie czyniły to na swój sposób i w miarę swoich możliwości. Przy drogach stali mołojcy z gniewnymi minami, trzymając dwie tyki (do podpierania fasoli) z transparentem na cześć wyzwolicieli i śpiewali dumki. W Haliczu obywatelska, ukraińska milicja zatrzymała nas, przeprowadziła rewizję, szukając polskiego oficera. Tym razem kuzynowi udało się wymknąć, ale i tak wkrótce został wywieziony na Sybir. W takiej sytuacji nic nie pozostawało, jak zawrócić i jechać w kierunku Tarnopola.

Tarnopol, miasto założone przez hetmana Jana Zamojskiego, które w ciągu wieków swego istnienia pozostawało w rękach możliwych rodów polskich. Nie ominęły go zawieruchy wojenne, przechodził niejedną raz z rąk do rąk. Niszczili go Tatarzy, Turcy, Kozacy, Moskale, a on się podnosił i odbudowywał, wydał znakomitych ludzi: z niego wywodził się Wincenty Pol, znany poeta, Aleksander Bruckner, naukowiec, historyk literatury polskiej, generał Franciszek Kleeberg, dowódca grupy operacyjnej Polesie, który stoczył ostatnią bitwę w kampanii wrześniowej pod Kockiem, światowej sławy archeolog i historyk sztuki, odkrywca fresków w Faras – Kazimierz Michałowski i wielu innych. W okresie międzywojnia miasto przyciągało wieloma instytucjami, należało do nich gimnazjum im. Juliusza Słowackiego. Stanisław Nicieja przytacza wypowiedź o nim jednego z uczniów: „Budynek tonął w kwiatkach. Na oknach czerwieniły się w skrzynkach pelargonie i piał się kolorowy groszek. Szeroką bramą wchodziło się do holu. Biały pomnik Juliusza Słowackiego – poeta siedział w zadumie”. Była to alabastrowa replika rzeźby Wacława Szymanowskiego, znajdującej się w kościele w Krzemieńcu. Ponadto Tarnopol posiadał dwa teatry, muzea, biblioteki, piękne kościoły oraz pomniki. Prócz pomnika Adama Mickiewicza mieszkańcy

miasta wzniesli pomnik marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Największy spośród wszystkich istniejących w ówczesnej Polsce, przedstawiał twórcę Legionów na koniu, obok żołnierzy. Autorami tego pomnika byli: rzeźbiarz Apolinary Głowiński oraz architekt Wawrzyniec Dajczak.

W dniu 17 września, kiedy moja rodzina znajdowała się w pobliżu tego miasta, Rosjanie usunęli monument. Runął na bruk uliczny Marszałek Polski i rozsypał się na części. A Sowieci rozpoczęli czystkę etniczną, zaczęli wywozić Polaków na Sybir, więzić, mordować. Nieświadomi sytuacji skierowaliśmy się w stronę Brzeżan. Na horyzoncie pojawił się mały punkcik, który rósł z błyskawiczną szybkością, w końcu stanął przed nami polski żołnierz, krzycząc rozpaczliwie: „Już po Polsce – jedną połowę biorą Niemcy, drugą Sowieci”. Jakby na potwierdzenie tych słów z lasu wyłonił się patrol radziecki, a za nim oddział żołnierzy wkraczał bezkarnie na ziemię Rzeczypospolitej. W ten sposób staliśmy się świadkami IV rozbioru Polski. Ogarnęło nas przerażenie. Nie pozostało więc nic innego, jak wracać do domu, a dom czekał. Zniszczony, ograbiony, ale wierny.

Michalina Sękowska-Pięchowa

Autorka korzystała z następujących publikacji:

Wiesław Budzyński, *Miasto Schulza*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2005.

Jerzy Ficowski, *Okolice sklepów cynamonowych*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986.

Henryk Grynberg, *Drohobycz, Drohobycz*, Wydawnictwo WAB, Warszawa 1997.

Stanisław Sławomir Nicieja, *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych*, t. 1–10, Wydawnictwo MS, Opole 2012–2018.

Bruno Schulz, *Sklepy cynamonowe, Sanatorium pod Klepsydrą*, Wydawnictwo Literackie, Kraków–Wrocław 1985.

ks. Tadeusz Pater, *Listy o Kresach Południowo-Wschodnich*, Wydawnictwo AA, Warszawa 2006.